

Marsz Równości – marsz o prawo bytu

2 października 2010



Tegoroczny Marsz

Równości we Wrocławiu był udaną imprezą. Pogoda bardzo dopisała, w ciepłym wczesnojesiennym słońcu samba brzmiała jeszcze bardziej energetycznie. Kolorowe balony sunęły przez miasto, a na koniec poszybowały w niebo. Dużo uśmiechniętych ludzi, dużo żartów, piknikowa atmosfera, „o przepraszam” i „nie ma sprawy” kiedy ktoś kogoś podeptał skrobiąc na piętach marchewy. Jednak jest coś, co mąci dobre wspomnienia i relację tę czyni trochę smutną. Korowód zgromadzonych w pokojowych zamiarach osób eskortowany był przez liczny kordon policji. Huczały skandowane hasła wzywające do tolerancji – wartości dość uniwersalnej, jeśli brać po uwagę dziedzictwo Europy (raczej to korzeniami sięgające Rewolucji Francuskiej, niż chrześcijaństwa). Ale apel ten spotykał się z kontrą w postaci „Wyp**rdalać!!!”, wydzieraną anonimowo gdzieś z tłumu gapiów. Wyp**rdalać z tolerancją? Z wolnością? Z równością? Zwykle bagatelizuje się tego typu ekscesy. Marsz jest najważniejszy i musi iść dalej z podniesioną głową, bez względu na obelgi, zaczepki. Jesteśmy tam po to, by wyrazić swoje poglądy domagać się praw poszanowania mniejszości, co jest ogólnie przyjętym standardem cywilizowanego świata. Niestety, polskiemu społeczeństwu zdarza się udowodnić, że w

pełni i w 100 procentach cywilizowane jeszcze nie jest.

Analizuję jednym okiem debatę, jaka toczy się na temat homoseksualizmu w mediach. Fora internetowe kipią od wulgarnych komentarzy, nawiązań do linczów, a nawet ludobójstwa. Dominuje pogarda i gniew. Wyważone komentarze to rzadkość, i tak obsypywane są stekiem wyzwisk i pozdrowień w tonie podobnym do tych kierowanych do uczestników Marszu. Dziwię się moderatorom, że nie kontrolują treści, jakie podsyłają internauci, że przepuszczają poniżające i urągające ludzkiej godności wypowiedzi, że nie klasyfikują ich jako naruszające regulaminy for, w szczególności tych na stronach stacji radiowych, telewizyjnych. Nie dziwię się jednak, z taką łatwością przychodzi mowa nienawiści, że jest akceptowana, że znajduje się dla niej miejsce w publicznej przestrzeni. Nie tak dawno podupadły kabareciarz, a teraz wrocławski radny, Jerzy Skoczylas wszem i wobec obwieścił, że uważa homoseksualistów za zboczeńców. Nie wzbudziło to oburzenia ani sprzeciwu ze strony władz miasta. Osoba piastująca publiczną funkcję mogła wypowiadać opinie, które w demokratycznych reżimach są niedopuszczalne, godzą bowiem w powszechnie przyjęte przepisy prawa: o publicznym znieważeniu, o dyskryminacji, o nawiązywaniu do nienawiści. W którymkolwiek z krajów na zachód od Odry pan radny zmuszony zostałby w najlepszym razie do przeprosin i dymisji. Na przykład jak Thilo Sarrazin, którego kaprys, by z ekonomisty przeobrazić w antropologa-rasistę słono kosztował. Ale nie w Polsce. Swoją drogą, syn pana Skoczylasa był wiosną ubiegłego roku jednym dumnych organizatorów wizyty dra Paula Camerona we Wrocławiu, homofoba wykluczonego przez środowiska naukowe za nierzetelne badania wykazujące, że lesbijki wożą śmierć i giną częściej w wypadkach samochodowych niż kobiety heteroseksualne, a geje mają wyraźne inklinacje do oszustw podatkowych. Czym skorupka za młodu nasiąknie...

Patrzyłam na chłopców, którzy przyszli oprotestować Marsz własnoręcznie wykonanymi transparentami oraz tych, którzy

darli się spontanicznie i wymachiwali pięściami w mniej zorganizowanej formie. Na ich zaangażowanie i wielką energię. Byli w większości bardzo młodzi. Zastanawiałam się czemu nie ma z nimi dziewczyn. Te bardzo nieliczne, które kręciły się wokół nie zabierały głosu, bardzo szykownie ubrane były tam chyba przede wszystkim dla tych chłopców, nie z okazji parady. Może nawet po cichu podobały im się kolorowe balony? Zazwyczaj jest tak, że przeciwko homoseksualizmowi najagresywniej i najgłośniej występują mężczyźni. W przeważającej części ich hasła odnoszą się też do homoseksualizmu męskiego.

Zakazując „pedałowania”, rzadko domagają się posyłania lesbijek do gazu. W zasadzie, „dwie całujące się panienki” to dość popularna popkulturowa fantazja erotyczna. Zespół Tatu zbił na niej miliony. Homoseksualizm męski jednak uderza w maczystowskie ego, lansowane przecież przez tradycyjną kulturę polską. Mężczyzna oddający się drugiemu mężczyźnie, penetrowany przez niego zamienia się w kobietę – traci moc, siłę, zdolność rywalizacji. Jest pokonany, słuźebny. Jest coś bardzo niezdrowego w pobudzeniu tych chłopców na dźwięk słowa homoseksualizm. Czy zseksualizowana męskość jest ich największą wartością? Męskość, która włada nad kobietami, dziećmi i resztą świata. Marsze Równości ją profanują, rozbijają harmonijną dwubiegunową wizję. Homoseksualizm także wpleciony został w dyskurs narodowy. Geje to podstępne kreatury, których głównym celem jest sianie fermentu i doprowadzenie do rozpadu praworządnego społeczeństwa, wspierającego się zasadą 3K (Kinder, Küche, Kirche – inaczej „rano katolik, wieczorem alkoholik”). Spadek liczby urodzeń i osłabianie siły narodu mierzonej liczbą głów to preludium do biologicznej zagłady Polaków, którą szykuje lobby homoseksualne. Nieprzypadkowo nasuwają się skojarzenia z motywami charakterystycznymi dla niemieckiej szkoły plakatu ulicznego późnych lat 1930. Co więcej, Kościół bardzo pomaga w rozpowszechnianiu i utrwalaniu tej „wiedzy”, piętnując i moralnie potępiając homoseksualizm. Jednocześnie drugą ręką desperacko pudruje on pedofilskie skandale, nękające go od

lat. Porażką ostateczną są podręczniki szkolne („katechizmy szkolne?”), w których poczytać można bajki o antykoncepcji i przypowieści o samogwałtach, a także dowiedzieć się, że homoseksualizm to choroba, którą na szczęście da się leczyć. Choroba czyli stan niepożądany, patologia, coś czego się unika, z czym siedzi się w domu i nie wychodzi, żeby nie zarazić innych. Czy w takich warunkach możliwa jest merytoryczna dyskusja ze społeczeństwem o homoseksualizmie?

Ktoś zidentyfikował uczestników kontry wrocławskiego Marszu jako mieszkańców Ołbina, Hub, Gaju. Wrocławskich dresów znaczy się. To ten element, o którym niejaki profesor Fleischer niedawno wypowiadał się per „to”, uznał że się „nie nadają do kultywowania” swoich okolic i że trzeba „brutalnie oczyścić dzielnicę z ludzi, których w niej nie chcemy”. To chłopcy z enklaw biedy, na których szkoła wypięła się na wstępie, a rodzice nie chcieli/nie umieli przypilnować. Chłopcy, których nie stać na wielkomiejskie rozrywki, ale którzy mają honor kibiców Śląska. Chłopcy niepasujący do wizualizacji logo „Wrocław the meeting place”, ale z dumą noszący szaliki Twierdzy Wrocław. Skamingautowany homoseksualizm ma wymiar bardzo klasowy: pedał-robotnik nie ma życia, gej-doktorant ma wielu życzliwych ludzi wokół siebie, ale przede wszystkim wsparcie ludzi takich jak on. Myślę, że nienawiść i agresja, z jaką spotkali się uczestnicy (także heteroseksualni sympatycy ruchu LGBTQ) sobotniego Marszu nie jest refleksyjna ani przemyślana. Myślę, że kiedyś w poszukiwaniu kozłów ofiarnych, by wyładować frustracje palono na stosach kobiety, potem zaczęto bić Żydów, aż zabito ich 20 milionów, a po drugiej stronie globu maltretowano i poniżano czarnych.

Fakt, że akty dyskryminacji przewijają się przez historię ludzkości nie oznacza jednak, że należy się z nią pogodzić. Postęp cywilizacyjny wymaga ochrony praw słabszych, gorzej sytuowanych, obłożonych klątwą. Wiele osób uważa, że Marsz Równości sprowadza się do afiszowania kto z kim sypia. Zdarza się, że opinię tą wyrażają też osoby nieheteroseksualne,

odmawiając w nim udziału, bo nie są „ekshibicjonistami”. Z jednej strony jest to jeszcze pokutujące w Polsce z różnych, bardziej lub mniej prywatnych przyczyn „siedzenie w szafie”. Z drugiej jest to wielkie nieporozumienie co do intencji organizatorów i organizatorek Marszów. Osoby heteroseksualne nie zdają sobie sprawy jak wiele komplikacji formalnych niesie ze sobą pozostawanie w niezalegalizowanym związku jednopłciowym. Oczywiście oczywistości dla jednych są dla innych murem trudnym do przebicia. W pędzącej codzienności nikt nie zaprzęta sobie nimi głowy. Problemy atakują natomiast w momentach, kiedy stanie się coś niedobrego. Brak ochrony prawnej związków jednopłciowych skazuje je na administracyjny niebyt. Co w przypadku hospitalizacji: decyzji o odłączeniu od respiratora, oddaniu organów do przeszczepu? Co z pogrzebem – decyzjami o jego organizacji, wypłatą zasiłku? Co z mieszkaniem lokatorskimi, dziedziczeniem? Co z rozliczaniem wspólnego gospodarstwa domowego? Co z dziećmi, z którymi weszło się w związek lub które pojawiły się w trakcie jego trwania? Nie wszystkie relacje homoseksualne akceptowane są przez rodziny partnerów. Z drugiej strony, nawet największa aprobata ma wątpliwe szanse w starciu z machiną biurokratyczną działającą w majestacie prawa. Stąd tak ważna jest walka o równouprawnienie osób LGBTQ. Legalizacja związków partnerskich, oprócz rozwiązania wielu formalnych problemów par i włączenia tego typu relacji do porządku prawnego ma także inny wymiar. Legalizacja to symboliczne przyznanie pełnego obywatelstwa osobom homoseksualnym – to akceptacja i obietnica ich ochrony. To zdjęcie odium podziemia, szemranego półświatka, etykiety „homo-niewiadomo”. Niestety, wielu heteryków wciąż nie potrafi popatrzeć na życie z „innej strony”.

Autor: Maria Skóra

Zdjęcie: [bildungsroman](#)

Źródło: [Lewica](#)